

Nowy sekretarz, stare zwyczaje? Mark Rutte na czele NATO

Mark Rutte przez lata był ucieleśnieniem idealnych cech liberalnego przywódcy. Otwarty i zawsze uśmiechnięty, ubrany w dobrze skrojone garnitury, promujący jazdę na rowerze, unikający wielkich politycznych wizji, stawiający na wizerunek menadżera od rozwiązywania doraźnych problemów. Nie brakowało momentów, w których był do bólu pragmatyczny w doborze krajowych koalicjantów. Z partyjnej talii kart, niczym wprawny hazardzista, wyciągał jakiegoś asa.

Z kolei na arenie międzynarodowej uwielbiał prezentować się jako przyjaciel wielu europejskich i światowych przywódców. Granice tych przyjaźni wyznaczało jego pozornie pryncypialne stanowisko w sprawie obrony europejskiej „praworządności”. Jednak to co było jego atutem w warunkach holenderskiej i unijnej polityki, może – wraz z wejściem w buty sekretarza generalnego NATO – okazać się balastem. Sprawny PR, szeroki uśmiech i dobre garnitury nie przykryją problemów z wiarygodnością i brakiem długofalowej wizji polityka, który staje na czele największego sojuszu obronnego na świecie.

Teflonowy Mark, jak często bywał nazywany czterokrotny premier Niderlandów, wielokrotnie udowydniał swoją skuteczność. Przez prawie półtorej dekady sformował cztery rządy. Współtworzył je z odmiennymi ideologicznie koalicjantami. Zdołał przetrwać wiele problemów wewnętrznych i zewnętrznych. Zmagał się z realiami rozdrobnionej

partyjnej sceny politycznej, kryzysami gospodarczymi i migracyjnymi oraz pandemią koronawirusa. Z wielu trudnych sytuacji wychodził obronną ręką.

Był przy tym bardziej lisem niż lwem. Nie chciał polować i pożerać swojej ofiary, ale raczej sprytnie wejść w jej nisze, które pozwalały mu się wzmacniać i marginalizować konkurencję. Jeśli prowadzenie rządu wyobrazić sobie jako sterowanie łódką na wzburzonych falach oceanu, to Rutte był kapitanem, który do perfekcji opanował trzy elementy: dobre wyczucie aktualnych wiatrów, znalezienie równowagi statku w trakcie sztormu (tak aby nie wyrzucić okrętu) i wreszcie pozbywanie się z pokładu zbędnych ciężarów, gdy na horyzoncie dostrzegał lepszą pogodę. W ten sposób zbudował trwały pancierz dla swojego liberalnego centryzmu. A kiedy na skutek rosnących problemów zaczął on pękać, postanowił wskoczyć na inny pułap swojej politycznej kariery.

Długi cień Kremla

Swój pierwszy rząd powołany w 2010 roku związał z poparciem kontrowersyjnego Geerta Wildersa. Rutte prowadził wtedy własną partię (Partia Ludowa na rzecz Wolności i Demokracji, VVD) od czterech lat, ale trudne negocjacje rządowe wymagały szukania porozumienia także z antyislamskim i antymigracyjnym Wildersem. To stąpanie po cienkiej linii skończyło się upadkiem rządu już po dwóch latach. Oficjalnie poszło wówczas o cięcia budżetowe, ale ta konstrukcja miała trwałe wady polegające na fundamentalnych różnicach światopoglądów i programów politycznych. W przyspieszonych wyborach 2012 roku wygrana Ruttego była na tyle okazała (wbrew zaniżonym sondażom otrzymał 26,5% głosów, a

lewicowa Partia Pracy Diederika Samsoma zgarnęła niemal 25%), że pozwoliła mu zmierzyć się już nie tylko z wyzwaniem budowania koalicji, ale przede wszystkim ze stworzeniem stabilnej rady ministrów, która pozwoliłaby Holandii odetchnąć od notorycznych wyborów. Rezultat wyborczy 2012 roku przerwał maraton skróconych kadencji (2002, 2003, 2006, 2010 i 2012). VVD udało się przezwyciężyć przekleństwo holenderskiej polityki i powołać rząd, który miał przetrwać aż do 2017 roku, urzędując przez 4 lata i 355 dni, co jest rekordem w powojennej historii Holandii.

Rutte współrządził z Partią Pracy (PvdA), a brak większości w senacie wymagał wielu kompromisów i koncesji. A był to czas pełen politycznych i gospodarczych wyzwań. Holenderski rząd mierzył się wtedy m.in. ze skutkami kryzysu gospodarczego i zadłużeniowego w UE oraz z zestrzeleniem przez Rosjan samolotu malezyjskich linii lotniczych, w którym zginęło wielu jego rodaków. Orężem Ruttego w walce z kryzysem była polityka oszczędności. Był znany m.in. z tego, że groził Grecji brakiem unijnej pomocy finansowej, jeśli Ateny nie zastosują strategii oszczędnościowej. Z czasem stanął na czele grupy państw „skąpców”. Ta grupa północnych krajów członkowskich UE opowiedziała się za polityką ograniczania unijnego budżetu. Rutte odgrywał w niej pierwszoplanową rolę. Nie okazując przy tym wrażliwości na argumenty państw Europy Południa czy Europy Środkowo-Wschodniej. Ze zbliżonego okresu pochodzi słynne zdjęcie europejskich liderów symbolicznie otwierających gazowy kurek dla Gazpromu w Europie. Rutte pozuje na nim w towarzystwie m.in. Dmitrija Miedwiediewa i Angeli Merkel. Holender należał do gorących zwolenników gazociągu Nord Stream 2. Mimo że jego rząd zamroził relacje z Rosją po zestrzeleniu przez rosyjskich separatystów samolotu lecącego z Amsterdamu, niderlandzki premier zdecydował się kontynuować rozmowy z Kremlem.

Kiedy wyszło to na jaw holenderska opozycja nie zostawiła na Ruttem suchej nitki. Oskarżano go o potajemne negocjacje z ludźmi Putina. On sam ignorował te zarzuty. Twierdził, że takie kontakty są standardowe. Rutte był współautorem holenderskiej i europejskiej polityki ustępstw wobec Moskwy. W 2018 oraz 2020 roku uznał, że prowadzenie roboczych dyskusji o współpracy energetycznej czy o unijnych sankcjach nakładanych na Rosję to coś najzupełniej normalnego. Pokazał wtedy, że jest jednym z najbardziej radykalnych zwolenników doktryny „business as usual”. Wśród zwolenników paktowania z Rosją należał do obozu entuzjastów, którzy chcieli dogadywać się z Kremlem pomimo zbrodni reżimu Putina. Tych faktów z jego biografii politycznej nie wymażą ani ostra retoryka wymierzona w Rosję po jej pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w 2022 roku, ani sprzęt wojskowy przekazywany przez Hagę do Kijowa.

Ucieczka do przodu

Mark Rutte uczynił z meandrowania w gąszczu gospodarczych i politycznych kryzysów swoją polityczną cnotę. Z wielu kłopotów wychodził bez szwanku. Albo skutecznie minimalizował straty. Złymi efektami swoich polityk potrafił obarczać koalicjantów. W 2017 roku cenę za podwyżkę wieku emerytalnego i cięcia na ochronę zdrowia zapłacił głównie jego lewicowy partner rządowy, Partia Pracy. Sam Rutte, wyczuwając wiatry politycznej koniunktury, docisnął wtedy ideologicznego gazu. Dostrzegając zagrożenie ze strony Wildersa, nie mając pomysłu na opanowanie kryzysu migracyjnego, postanowił zastosować ucieczkę do przodu. Unikając systemowych rozwiązań, w publicznym wystąpieniu stwierdził twardo, że ten kto nie szanuje wartości holenderskich powinien opuścić jego kraj. Wzywał bez

ogródek: „jeśli mieszkasz w kraju, w którym irytuje cię to, jak postępujemy, masz wybór: Wyjedź! Nie musisz tu być!”. Rutte dołączył do antymigracyjnej licytacji. Wiedział, że nie przebiję stawki w starciu z Wildersem. Ale był też świadomy, że zejście z tego pola rywalizacji może być dla niego zbyt kosztowne.

Z tym samym szerokim uśmiechem siadał zatem do fortepianu. Zmieniał tylko linie melodyczne. Z tej liberalnej, na antymigrancką. Zarazem wciąż wiele nut brzmiało po staremu. Węgry i Polskę krytykował za ich wewnętrzne reformy mediów, sądownictwa czy zmian w konstytucji. Otwierał front wojny dyplomatycznej z Turcją, gdy twardo sprzeciwiał się prowadzeniu przez Ankarę wśród mniejszości tureckiej w Rotterdamie kampanii agitacyjnej na rzecz zmian w tureckiej konstytucji. To go legitymowało wśród europejskich elit. Tą melodią schlebiał gustom tego audytorium.

W kraju pozostawał niezbędnym ogniwem w każdej powyborczej układance rządowej. W wyborach 2017 roku jego VVD zdobyła nieco ponad 21% głosów. Rutte stracił wtedy 8 deputowanych w 150-osobowej niższej izbie holenderskiego parlamentu. Jednak prawdziwe odium społecznej niechęci spadło na Partię Pracy, która straciła prawie 30 posłów.

Kampania 2017 roku toczyła się w cieniu migracji, brexitu i triumfu wyborczego Donalda Trumpa. Ton wielu debat nadawał Wilders. Okrzyknięty holenderskim Trumpem. W mało oryginalny sposób powielał hasło „Make Netherlands Great Again”. Centrum dyskursu politycznego przestały już tak mocno wyznaczać tematy związane z kryzysem gospodarczym. W tamtym czasie holenderska gospodarka

uległa bowiem ożywieniu. W 2016 roku PKB per capita wróciło do poziomu z 2008 roku. Jeszcze na początku poprzedniej dekady PKB Holandii było ujemne. 2016 rok był drugim z rzędu z ponad 2-procentowym wzrostem. Spadł poziom bezrobocia i długu publicznego, zaczynała rosnąć konsumpcja, ożywił się holenderski rynek mieszkaniowy. Drugi rząd Ruttego zamykał się przyzwoitymi (choć nadal gorszymi niż sąsiednie państwa) wynikami gospodarczymi.

Zagrożenia z prawej flanki

Wybory 2017 roku były jednak sygnałem ostrzegawczym dla urodzonego w 1967 roku polityka. Wraz z dobrym wynikiem Wildersa (ponad 13% i drugie miejsce) jasne stało się, że rosnąca popularność prawicy jest trwałym trendem. A jej antysystemowość jest niebezpieczna dla liberalnej hegemonii Ruttego. Wilders zaczął wtedy coraz mocniej definiować ramy debaty publicznej. Jego antyelitarne podejście dobrze rezonowało wśród wielu wyborców. Wzywał do zamknięcia meczetów, zakazania czytania Koranu, wstrzymania muzułmańskiej imigracji. Islam nazywał „totalitarną ideologią”. Szef PVV nawoływał także do rozpisania referendum w sprawie wyjścia Holandii z UE. Dyskutowalne stały się takie kwestie jak opuszczenie strefy euro. W holenderskiej przestrzeni publicznej było coraz mniej miejsca na polityczne tabu. Temperatura sporów politycznych gwałtownie wzrastała.

Pandemia koronawirusa wywołała kolejną kryzysową falę. Rząd Ruttego oskarżano o zbyt ostre restrykcje (m.in. wprowadzenie godziny policyjnej) oraz zbyt późne dostarczenie szczepionek. W kilku miastach wybuchły zamieszki. Na protesty Rutte odpowiedział krytyką, a

następnie złagodzeniem obostrzeń. Pod wpływem pandemii premier oszedł też nieco od dotychczasowej ortodoksyjnej polityki gospodarczej. Wobec kryzysu zdrowotnego rząd nie mógł nieustannie wzywać do oszczędności. Holendrzy zresztą z czasem raczej doceniali jego działania. Wildersowi nie udało się zbić większego kapitału na pandemicznych potknięciach Hagi.

Wtedy też (początek 2021 r.) wybuchł wielki skandal. Okazało się, że w latach 2013-2019 instytucje holenderskiego państwa niesłusznie oskarżyły 26 tysięcy rodzin o oszustwa polegające na wyłudzeniu świadczeń wychowawczych. Tysiące ludzi musiało zmienić mieszkania, styl życia, pracę, by móc finansowo sprostać karom nakładanym przez państwo. Dużą część pokrzywdzonych stanowiły rodziny o podwójnym obywatelstwie. Rutte ugiął się pod ciężarem tej afery. Podał się do dymisji. Holandię czekały kolejne przyspieszone wybory. Wydawało się, że to może być moment, w którym zgaśnie gwiazda szefa VVD.

Tyle że, podobnie jak we wcześniejszych sytuacjach, teflonowy Mark wyszedł z tego kryzysu suchą nogą. Cenę zapłacili przede wszystkim liderzy jego dawnych koalicjantów – minister spraw społecznych i pracy z lat 2012-2017 Lodewijk Asscher (PvdA) oraz ówczesny minister finansów Wopke Hoekstra (CDA). Obie partie osiągnęły w 2021 roku słabe wyniki. Mimo obciążonej politycznej kartoteki Rutte niemal powtórzył wynik z 2017 roku. Wygrał wybory czwarty raz z rzędu i przystąpił do negocjacji rządowych.

„Po 10 latach rządów prawda go dopadła”

Z czasem okazało się jednak, że nad najsprawniejszym holenderskim politykiem zgromadziło się zbyt wiele czarnych chmur. Ważną rolę w ujawnieniu wspomnianej afery odgrywał Pieter Omtzigt. To eurosceptyczny polityk rządowego koalicjanta premiera Rutte, Apelu Chrześcijańsko-Demokratycznego (CDA). Rutte popadł w kłopoty, gdy podczas powyborczych negocjacji w 2021 roku został sfotografowany z teczką sugerującą, że Omtzigt ma zostać odsunięty na boczny tor. Rutte natychmiast zaprzeczył, by prowadził tego rodzaju rozmowy. Gdy ujawniono dokumenty przeczące słowom premiera, ten stwierdził, że „nie kłamał, tylko źle zapamiętał” przebieg rozmów.

Człowiek, który przez lata cieszył się medialnym parasolem ochronnym, nie był w stanie zapobiec przeciekowi z partyjnych negocjacji. Rutte znalazł się pod ostrzałem posłów w holenderskim parlamencie. Przez 12 godzin bronił się przed seriami oskarżeń i przesłuchań. Mimo to przetrwał głosowanie nad wotum nieufności. Wilders stwierdził wtedy, że „po 10 latach rządów prawda dopadła Ruttego”. Była to celna uwaga. Tamto zamieszanie zerwało z Marka Rutte medialną pelerynę. Widoczne stało się, że to on był współodpowiedzialny za wcześniejsze kryzysy. Jeszcze przed głosowaniem w sprawie wotum nieufności popierało go 54% badanych. Około 10 dni później było to już jedynie 25% ankietowanych. Większość rodaków zaczęła uznawać, że lepszym rozwiązaniem byłaby jego dymisja.

Po 10 miesiącach żmudnych rozmów Rutte zdołał powołać czwarty rząd swojego autorstwa. I choć teoretycznie był to rząd kontynuacji szerokiej liberalno-chadeckiej koalicji (VVD, CDA, liberalnych D66 i CU), to wzajemne urazy i nieufność nie pozwalały już dłużej skleić tego

tworu w całość. Lont od dawna się palił, a kwestią czasu pozostawało tylko to, kiedy nastąpi eksplozja. Rutte był tego świadomy i chciał by odbyło się to na jego zasadach.

Kres rządów centrowego pragmatyzmu

Holenderscy dziennikarze zwracają uwagę na kilka kluczowych punktów tworzących polityczny styl Marka Rutte. Jednym z nich jest taktyka „meeveren”. W roboczym tłumaczeniu oznacza „poruszanie się i rozciąganie”. Chodzi o pragmatyzm i elastyczność. Dzięki nim Rutte nie tracił kontaktu z bazą własnych wyborców (pragmatyczne decyzje), broniąc zdolności do zawiązania sojuszu z każdym. Innym wyznacznikiem jego postępowania były stałe rutynowe działania oraz niechęć do wyznaczania limitu czasowego. Powtarzalność pewnych czynności miała dotyczyć przede wszystkim jego życia osobistego. Rutte nigdy nie rezygnował z niedzielnych spotkań ze znajomymi czy sobotniej kawy zamawianej zawsze w tym samym miejscu. Były premier nigdy nie założył własnej rodziny, nie ma dzieci. Ma za to liczne rodzeństwo. Jest najmłodszym z siedmiorga rodzeństwa.

Te specyficzne zwyczaje przekładały się również na ostrożność w podejściu do wyścigu z czasem czy siłowania się z losem w sprawach politycznych. Nie chodzi o to, że były premier odpuszczał walkę. Rutte w ważnych kwestiach wolał jednak przejść do fazy działań dopiero wtedy, gdy był pewny, że wszystko jest dobrze zorganizowane i pod jego pełną kontrolą. To dość oryginalne oczekiwanie w warunkach bardzo niestabilnej i rozdrobnionej niderlandzkiej sceny politycznej. Przez wiele lat przynosiło jednak pożądane owoce.

Podejście to okazało się również efektywne w kwestii zajęcia stanowiska sekretarza generalnego NATO. Rutte wiedział, że nadchodzi kres i tak nadzwyczajnie przedłużanej kadencji Jensa Stoltenberga. Zarazem nie mógł nie dostrzec trudności piętrzących się przed jego własnym rządem i partią. W tej ostatniej został pozbawiony przywództwa w październiku 2022 roku. Jej konserwatywne skrzydło coraz mocniej krytykowało pragmatyzm premiera. Narastało w niej przekonanie, że koalicja z progresywnymi, liberalnymi partiami D66 i CU nie przyniesie VVD nic dobrego. Kością niezgody pozostawały sprawy migracji. Rząd miał też coraz większy problem z rolnictwem.

Zanieczyszczenie azotem w gęsto zaludnionej i będącej znaczącym eksporterem produktów rolnych Holandii stało się sprawą palącą już w 2019 roku. Holenderskie sądy nakazały zmniejszenie zanieczyszczeń, które przekraczały unijne normy. Oznaczało to kłopoty nie tylko dla rolnictwa (zmniejszenie liczby zwierząt gospodarskich), ale także m.in. dla branży budowlanej. Zmagająca się z niedoborem mieszkań Holandia musiała ograniczyć liczbę budowanych mieszkań. Przeciw rządowym planom w sprawie ograniczania hodowli zwierząt ostro protestował Ruch Obywateli Rolników (BBB). Rozgrywał przy tym różnice dzielące wschodnią, bardziej rolniczą część Holandii od zachodnich, zurbanizowanych jej terenów. Politycy VVD obawiali się, że temat może stać się główną osią przyszłych kampanii wyborczych. To miał być jeden z powodów, dla których Rutte zdecydował rozbić swój rząd o skały migracji.

W lipcu 2023 roku dał swoim koalicjantom dwudniowe ultimatum. Jeśli nie podejmą decyzji o wprowadzeniu tymczasowego zakazu łączenia rodzin dla osób ubiegających się o azyl, to rząd miał upaść. Tak też się

stało. Wydaje się, że Mark Rutte liczył jeszcze na to, że znajdzie poparcie dla prowadzenia technicznego gabinetu. Dającego mu formalną władzę, ale pozwalającego skupić się też na dyplomatycznych staraniach o fotel sekretarza NATO. Jednak żadne znaczące siły polityczne nie były zainteresowane budowaniem tymczasowych protez rządu. Czwarty rząd Ruttego upadł po 18 miesiącach funkcjonowania. Dla holenderskiego lidera był to koniec kilkunastoletniej kariery szefa rządu. Dla holenderskiej opinii publicznej nowy rozdział w politycznej historii ich państwa.

Europa jako żyrafa albo pancerny pociąg

Podobno jednym z ulubionych cytatów Marka Rutte są słowa Helmuta Schmidta: „ludzie z wizjami powinni udać się do lekarza”. Były takie momenty, w których Rutte musiał jednak podzielić się swoimi przemyśleniami, swoją „wizją” integracji europejskiej. Tak było na przykład w 2018 roku.

Rutte wygłosił wtedy dłuższe wystąpienie w siedzibie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu. Cytował w nim Churchilla, Goethego, a nawet przywoływał westerny z Johnem Waynem w roli głównej czy anegdoty o Juliuszu Cezarze. Ta ostatnia w zabawny sposób nawiązywała do powrotu Rzymian z jednej z kampanii. Przywieźli oni z niej żyrafę, ale nie wiedzieli co to za zwierzę i jak się nazywa. Nazwali ją „wielbłądopardem”, ponieważ miała szyję jak wielbłąd i cętki jak lampart. Po wojnie jeden z holenderskich polityków przypomniał Europejczykom te historyjkę, pisząc, że „Europa jest jak żyrafa: zwierzę trudne do zdefiniowania, ale łatwe do rozpoznania”. Rutte przywołał tę figurę w puencie swojego przemówienia.

Zanim to zrobił przytoczył wizję Unii, która chroni jedność. Unii, która nie składa się z różnych kręgów integracji, ale aktywizuje się tam, gdzie przynosi to największe efekty. Przekonywał: „Coraz więcej Europy nie jest odpowiedzią na wiele problemów, z którymi ludzie borykają się na co dzień. Dla niektórych «coraz ściślejsza unia»” wciąż jest celem samym w sobie. Nie dla mnie. «Jedność» i «coraz ściślejsza unia» to nie to samo. Jedności nie osiąga się po prostu robiąc więcej w większej liczbie obszarów. Osiąga się ją, robiąc rzeczy naprawdę dobrze w kilku ważnych obszarach”. I wymieniał jako najważniejsze: jednolity rynek, strefę euro, bezpieczeństwo, a przede wszystkim politykę klimatyczną. W tym ostatnim zakresie zaproponował 55-procentową redukcję emisji gazów cieplarnianych do 2030 roku. Trudno doszukiwać się w tym umiaru i szukania jedności dla całej Europy.

Rutte był wówczas rzecznikiem utrzymania jedności europejskiej, choć była to jedność definiowana przez wąską grupę państw. Wokół Holandii zawiązała się grupa państw-skąpców, która miała dość sponsorowania wiecznie zadłużonej Europy Południowej. Rutte proponował głęboką reformę budżetu UE i obcięcie środków na politykę rolną i fundusze strukturalne. Z jednej strony jawił się jako obrońca wciąż niedokończonego jednolitego rynku i konwergencji gospodarczej, a z drugiej chciał pozbawić biedniejsze regiony UE ogromnych środków na inwestycje infrastrukturalne. Miało to być receptą na poszukiwania skuteczności i nowoczesności w XXI wieku.

Europa wyobrażona jako „trudna do zdefiniowana, ale łatwa do rozpoznania żyrafa” to według Ruttego mieszanka dwóch składników. Z jednej strony różnorodnych narodów, państw, historii, języków i kultur. Z drugiej strony to łatwo rozpoznawalna „wspólnota wartości i

zjednoczone partnerstwo”. Holender nazwał Europę zbiorem „krytych wagonów, który daje siłę i ochronę”. Abstrahując od niefortunności tych siermiężnych metafor, razić w tej wizji mogła jej jednostronność. Owszem Rutte krytykował UE za jej niedociągnięcia i błędy, ale pozostawał przy tym wyłącznie rzecznikiem starej Unii. Gotowym do przyspieszenia tempa zielonej i cyfrowej rewolucji. Nie oglądającym się na ich koszty, na odmienny mix energetyczny państw, na różnice w ich pułapach rozwojowych. Europie Środkowej czy Południowej mógł się jawić jako polityk oszczędzający na ich rozwój, chętnie przykręcający fiskalne śruby. Jego wiara w europejski projekt miała w sobie coś dogmatycznego. A deklarowana elastyczność i wezwania do reform miały raczej charakter zasłony dymnej. Nie miały natomiast nic wspólnego z wywracaniem stolika, przy którym siedzi wąskie grono dobrych znajomych reprezentujących przeważnie „starą Unię”, czyli kraje założycielskie Unii.

Wybierając Ruttego na sekretarza generalnego NATO, Zachód postawił więc do pewnego stopnia na polityka kontrowersyjnego, zmiennego i technokratycznego. Ruttemu przyjdzie się zmierzyć z wieloma geopolitycznymi wyzwaniami. Z większością z nich miał dotychczas do czynienia w małej skali albo w ogóle. Owszem bywał odpowiedzialny za przedsięwzięcia europejskiej dyplomacji. Choćby wtedy, gdy Angela Merkel poprosiła go o poprowadzenie negocjacji z Turcją w sprawie porozumienia UE-Ankara pozwalającego na powstrzymanie napływu migrantów do Europy. Zarazem nie był nigdy przywódcą wychodzącym z nowymi propozycjami. Proponującym recepty i odważnie wykorzystującym narzędzia dyplomacji do ich wdrażania. Nie wychodził przed szereg europejskich decydentów. Łatwiej przypisać mu podejmowanie koniunkturalnych niż konsekwentnych decyzji. Do obozu przeciwników Rosji zapisał się dość późno. W dodatku przez lata Haga nie potrafiła spełnić wymaganego przez NATO 2% progu

wydatków PKB na obronność. Odkładała też plany na modernizację swojej armii. Nie należała do prymusów transatlantyckiego sojuszu. Dlatego nominację Marka Ruttego na nowego sekretarza generalnego NATO wielu może odebrać jako jeszcze jeden niepokojący sygnał powrotu Zachodu do tak dobrze znanej filozofii uległości względem Rosji. Polityczna biografia Marka Rutte pokazuje, że ma on wiele cech, które mogłyby sprzyjać budowaniu ram pod nową politykę odprężenia z Moskwą.

Bartosz Światłowski